
Reminescencje z zesłania Brunona Mokrzyckiego

Niepodległość i Pamięć 13/1 (22), 209-213

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Reminiscencje z zesłania Brunona Morzyckiego

Autor listu – Brunon Morzycki urodził się 7 listopada 1901 roku w Ruszkowie na Kujawach. W 1913 roku rozpoczął naukę w Realnym Gimnazjum Ojców Zmartwychwstańców w Krakowie, którą przerwał, by wyruszyć na wielką wojnę. Później uczestniczył w obronie Lwowa, walczył na froncie wołyńskim oraz w powstaniach na Śląsku i na Wileńszczyźnie.

W 1923 roku rozpoczął studia na Uniwersytecie Stefana Batorego, jednak nie mógł ich kontynuować ze względu na brak środków. Podjął wówczas pracę dziennikarską w Wolnej Agencji Prasowej „Kresy” oraz w „Echu Wileńskim”. W latach 1926-1939 współpracował z grudziądzką filią „Słowa Pomorskiego” i z „Głosem Lubelskim”. W tym czasie był również zaangażowanym członkiem Stronnictwa Narodowego.

Od pierwszych dni wojny brał udział w kampanii wrześniowej. W czasie okupacji prowadził nasłuch radiowy i pisał artykuły do podziemnej prasy. Kierował także wydziałem propagandy w lubelskim

Stronnictwie Narodowym. We wrześniu 1942 roku został aresztowany przez Niemców i osadzony na Zamku Lubelskim, a następnie w katowni gestapo – pod tzw. zegarem. Od 1944 roku przebywał w więzieniach w Częstochowie (trzymano go tam w celi śmierci), Katowicach, Berlinie, Rudlstadt (Turyngia), Planem (Saksonia), Innsbrucku (Austria). Po wyzwoleniu działał w Komitecie Polskim i w Komisji Międzynarodowej, rozpatrującej wnioski obywateli różnych krajów dotyczące ich osiedlenia po wojnie. B. Morzycki bronił tam Polaków i Żydów mieszkających po 17 września 1939 roku za wschodnią linią Bugu przed „repatriacją” do ZSRR.

W 1946 roku udał się do Wiednia, aby czynić starania o sprowadzenie na Zachód rodziny z Polski. Przejeżdżając przez radziecką strefę okupacyjną został aresztowany i wywieziony do Moskwy. Tam trafił na Łubiankę, gdzie oskarżono go o namawianie „obywateli radzieckich”, by nie wracali do kraju. 30 sierpnia 1947 roku został



Brunon Morzycki

skazany z art. 7-35 kk RFSRR jako „element społecznie niebezpieczny” na 5 lat pozbawienia wolności.

W latach 1946-1951 przebywał w wielu łagpunktach na północy ZSRR (Iwdielląg, Dudinka, Workuta). Później wysłano go na tzw. wiecyste osiedlenie do Krasnojarskiego Kraju. W 1958 roku, dzięki staraniom rodziny, mógł powrócić do Polski. Początkowo zamieszkał w Zielonej Górze, później przeprowadził się do Mielca.

Tu odtworzył częściowo wiersze, które powstały w obozach i na osiedleniu, pisał utwory o tematyce syberyjskiej oraz pamiętnik. Niestety, na skutek nasilenia się astmy i niewydolności krążenia nie był w stanie go ukończyć.

Brunon Morzycki zmarł 16 lutego 1967 roku w Mielcu. Adresatką listu była Irena Grygielewicz, c. Feliksa, ur. w 1929 roku, która w czasie wojny działała w strukturach AK na Grodzieńszczyźnie. Wraz z siostrą Melanią (ur. w 1926 r.) przebywała w obozie i na zesłaniu w Krasnojarskim Kraju.

* * *

Mielec, 15.VI.60

Kochana, Droga Irenko!

Dawno już do Ciebie nie pisałem. Ale gdybyś wiedziała, jaki jest w rzeczywistości stan zdrowia Twojego starego przyjaciela – nie dziwiłabyś się może i nie miałabyś żalu. Mój list jeszcze dłatego uległ opóźnieniu, że porządkowałem trochę moją „spuścizną literacką” z myślą m.in., aby przesłać właśnie Tobie serię wierszy, pisanych przeze mnie kiedyś o Powstaniu Warszawskim i Armii Krajowej. Wiersze te przyszło się rekonstruować częściowo z pamięci, są one zniekształcone, wiele z nich przepadło bez śladu. Ale co z nich ocalało – należy się właśnie Tobie, Tobie – żołnierzowi AK, więźniowi łagrów i sybiracze. Tym bardziej, że łączą się te wiersze i z łagami i zsyłką.

Był to chyba rok 1949. Siedziałem wtedy z Iwdiellągu na północnym Uralu (jak powiedział konwojent ze Stolypinky: „tam, gdzie Makar Tielat nie ganiał!”). Cały łagpunkt składał się niemal wyłącznie z gruźlików i ludzi chorych „na alimentarnuju distrofiju” i wszystko to wymierało powoli. Kto jeszcze mógł się ruszać, miał „III intrud” lub „II kategorię”, kto ruszać się nie mógł – miał IV inwalidzką. Inwalidzi też zresztą pracowali: darli drankę, a słabsi robili takie szczypce do wieszania bielizny. Robiło się je z brzożowych polan, sprężynki przychodziły do nich całymi skrzyniami – Za wykonanie normy – 80 szczypiec – otrzymywało się pół litra mleka pół na pół z wodą. Droga od krowiego wymienia do inwalidy bardzo jest daleka... po drodze wiele znajdowało się ust, które trochę owego mleka upiły i rąk, które wody dolały. Grunt przecież, aby zgadzała się ilość litrów...

Otóż to w owym czasie, doszedłszy do zupełnego kresu mych sił, wylądowałem w takim półstacjonarze. Tam już podział pracy był inny: ci silniejsi, najsilniejsi – robili owe szczypczyki, a całkowite „dochodiagi”, czyli po polsku chyba na pół umrzyki, leżały w drugiej połowie budynku i miały wreszcie prawo nic nie robić, a należałem do tych ostatnich.

Nie powiem, żeby mi było źle. Wśród wszystkich wędrowek moich była to jakby godzina ciszy. Wylądowałem na tym drewnianym szpitalnym wyrku i nie potrzebowałem iść już nigdzie. Z mojego ciała nie pozostało już prawie nic: szkielet, pociągnięty pomarszczoną i zwisającą workowato skórą. Nie odczuwałem już nawet głodu i nie odzywał się we mnie żadnym głosem nawet instynkt samozachowawczy. Instynkt ten jest zdaje się funkcją czysto zwierzęcą i tym mocniej się odzywa w człowieku im bardziej młode, zdrowe i zasobne w soki żywotne jest ciało, a w miarę posuwającego

się wycieńczenia organizmu zdaje się zanikać. We mnie w tym czasie nie działał już wcale i osiągnąłem zupełną i całkowitą obojętność na mój dalszy los. Jest w tym coś z wolności.

Było lato, krótkie północnouralskie. Stacjonar stał na terenie zony, ale oddzielony był od niej drutami, stanowił więc poniekąd zonę oddzielną. Stał na skraju zony ogólnej: jednym bokiem przytykał do podwójnej linii drutów kolczastych, za którymi tuż, rękę podać, rozścielała się tajga. Ciągnął się stamtąd mocny zapach nagrzanego żywicy zmieszany z cierpką wonią młodych brzoźowych liści i trudną do zdefiniowania całą masą innych zapachów. Między nami a lasem były owe dwa rzędy drutów kolczastych i znana Ci dobrze z łagrów „zapretniona zona” – pas ziemi spalchnionej, zoranej i zbronowanej tak starannie, że odcisnąć i zachować musiałyby każdy ślad. Na wypadek, gdyby ktoś zamierzał uciec i przebył jakoś zagrody z drutów i zakazaną strefę po drugiej stronie ogrodzenia krążyli nieustającym patrolem strażnicy, prowadzący na smyczach specjalnie tresowane do polowania na ludzi psy. Na rogach zaś i załamaniach ogrodzenia z drutów wznosiły się wieże strażnicze, skąd widok i obstrzał obejmował cały obóz i jego kolczaste granice, a przy karabinach maszynowych czuwali strażnicy. Wszystkie te środki ostrożności były w danym wypadku całkiem zbędne – w łagpunkcie nie było nikogo, kto by miał siły, by próbować ucieczki. Ale prawo jest prawem a przepis przepisem, zmieniali się więc dzień i noc strażnicy na wieżach, krążyły patrole z psami i zabroniona strefa była spalchniana i bronowana systematycznie.

Niemniej – nikt nie mógł zatrzymać owych zapachów, które niosły się z tajgi i słońca, które świeciło dziwnie jasno na stałe w tym roku pogodnym niebie. Przed barakiem szpitalnym kawałek placu zarośnięty był trawą, a że mało kto chodził tamtędy, trawa była dziwnie zielona i świeża. Wychodziłem z baraku, kładłem się na owej trawie i wygrzewałem się na słońcu jak jedna z jaszczurek, których na Uralu jest tyle. Nie było to zakazane.

Jak rzekłem, było mi prawie dobrze. Ciało już niemal nie czułem i myśl – dziwnie lekka – była chyba tym, w czym skoncentrowało się moje istnienie. Leżałem tak godzinami. Wspominałem tych, których kochałem i utraciłem – zdawało mi się wówczas – na zawsze – i przemyślałem po raz stutysięczny sprawę, której poświęcone było nasze świadome życie. Poczulem potrzebę, ostrą, dobrze znaną potrzebę pisania, utrwalenia swoich przemyśleń, tęsknot i nastrojów – odzywał się stary nałóg, który widocznie nie uległ jakoś atrofii. Pisać?! Cóżby to było za szczęście!

Pisać – to nie było takie proste. Po pierwsze dlatego, że pisanie czegokolwiek prócz listów było całkowicie zakazane i mogło ściągnąć na głowę piszącego poważne nieprzyjemności. Po drugie, aby pisać, trzeba mieć co najmniej ołówek, no i przede wszystkim papier.

Papier zaś był w łagrze przedmiotem rzadkiego luksusu i zbytku. Papieru w ogóle nie było. Zdarzało się czasem, że jakiś Rosjanin czy Ukraińiec dostał w przesyłce z domu zeszyt – i wówczas cena takiego zeszytu była niewiarygodnie fantastyczna. Tu, gdzie ludzie po prostu i najdosłowniej umierali z głodu, za zwykły, cienki zeszyt uczniowski trzeba było oddać trzy albo cztery dzienne porcje chleba. Szczęśliwy właściciel wołał go zwykle puszczać na pasek oddzielnymi kartkami: jedne kupowali więźniowie, którzy za wszelką cenę chcieli napisać list do swoich, a nie mieli swojego papieru, drugie – namiętni pałacze, którzy wyrwali skąd machorki, a nie mieli w co ją zakreślić. W takim detalicznym handlu za zeszyt można było osiągnąć znacznie więcej.

Tak czy owak, zdobyłem się na kupno aż dwóch zeszytów. Głodować umiałem nieźle. Nauczyłem się tego jeszcze w niemieckich więzieniach, a w tym czasie miałem już i niezłą praktykę sowiecką – i teraz leżałem sobie w słońcu na trawie, a przede mną leżały moje zeszyty i ogryzek ołówka. Pisałem gęsto i najdrobniejszym maczkiem, by wykorzystać każdy milimetr papieru.

Wtedy to m.in. napisałem ów cykl o powstańczej Warszawie, obok wierszy o tematyce osobistej, do tych, których kochałem. Zapisałem też później dwa zeszyty prozy (bo zeszyty kupować musiałem nadal), proza oczywiście została spalona przed najbliższym etapem, w który mnie pognano. Nie mogłem jej narażać na rewizje, konfiskaty itp. Co do wierszy zaś – wiersze te od początku nie miały szczęścia!

Pewnego wieczoru, gdy leżałem już na swoim wyrku i przeglądałem moje papierowe skarby, podszedł do mnie któryś z kryminalnych więźniów z żądaniem:

– Pan, daj papieru na skręcenie kilku papierosów!

– Nie mogę ci dać papieru, bo widzisz – mam już tylko jeden zeszyt, drugi jest zapisany, a nieprędko będę mógł kupić nowe, bo biorą za nie po cztery porcje chleba! Za te dwa dałem siedem porcji – przez dwa tygodnie co drugi dzień oddają. Ale w trzecim baraku dostali paczkę i ktoś dostał nawet banderolę z gazetami i papier sprzedaje. Podobno nawet za zupeł!

Na drugi dzień budzę się ze snu, sięgam do moich zeszytów – jest tylko jeden, ten nie zapisany. Ten z wierszami przepadł.

Szukam go wszędzie – pod wyrkiem, pod siennikiem – nigdzie go nie ma! Obecni na sali kryminalni przyglądają się niby obojętnie, ale uśmiechają się jakoś ironicznie. Sprawa jest jasna.

Oto i wczorajszy typ! Podchodzę do niego.

– Ty mi ukradłeś zeszyt?

Patrzy mi w oczy w pewnością siebie, w pełnym poczuciu swojej niewinności.

– Ja wziąłem? Ale czego ty – pan – szum podnosisz? Przecież wziąłem ci rzecz niepotrzebną – zapisany papier! Jestem człowiekiem kulturalnym – czystego zeszytu ci nie zabrałem, bo rozumiem, że ci może być potrzebny! Jeśli już tak lubisz pisać, to sobie pisz! Ale o zapisany papier robić kwestie?

W taki to sposób przepadły po raz pierwszy te warszawskie i inne wiersze. Pisałem je pod wpływem impulsu, nie umiałem ich na pamięć, nie wszystkie zdołałem odtworzyć, a co odtworzyłem, to chyba gorzej niż było i w formie daleko odbiegającej od dawnej. Potem, gdy szedłem w jakieś etapy, gdy przenoszono mnie z łagpunktu do łagpunktu, czy też później na Workutę, a stamtąd na zsyłkę, do Krasnojarska – trzeba było niszczyć i palić to wszystko. Proza przepadła: pamiętniki z tych lat, obserwacje i prawie gotowa już powieść „Wymarzona Karaganda”. Ostatniego całopalenia dokonałem w 1958 przed wyjazdem do Kraju na Angarze. Z wierszy szczątki przetrwały w pamięci. Com umiał i jak umiałem, takem odtworzył. Choć z punktu widzenia sztuki pisarskiej w obecnej formie nic nie są warte, ale są mi bliskie może po prostu jako pamięć tych dni, przeżyć i uczuć. Jest ich już tylko kilka. Z cyklu warszawskiego przepadły całkiem w pamięci „Kolumna Zygmunta” i „Belweder”, i kilka innych. Ponieważ zarówno te uczucia jak i wędrówki północne są nam wspólne, nie rozgniewasz się chyba, że Ci je pošlę. Ty wiesz, że dla mnie jesteś nie tylko żywą Irenką, ale symbolem wszystkiego, co jest bohaterskiego i godnego czci w polskiej dziewczynie. Takie właśnie jak Ty w Warszawskim powstaniu szły z butelkami na czołgi niemieckie. Była taka, co za spalenie trzech czołgów dostała *Virtuti Militari* i zginęła na drugi dzień. Miała piętnaście lat.

Jestem o jedno pokolenie starszy od Ciebie. Moje pokolenie odchodzi – Wy zostajecie, by pełnić rolę patriotycznego sumienia Polski. I to jest najważniejsze, bo ponad kwestią ustrojów i codziennego politycznego zamętu świata – jest Polska.

Przechodząc do moich spraw – mamy możliwe lato. Wychodzę nieco na dwór. Właśnie z topoli spada biały puch i całe masy tego puchu wiatr niesie i powoli opuszcza na ziemię, która wygląda jak przyprószona śniegiem. W piasku bawią się dzieci. Ileż tu jest dzieci! Więcej chyba niż gdziekolwiek! Jest pięknie...

Bardzo dobrze mi jest z moją Myszką. Kocha mnie bodaj tyleż co i ja ją. Jak nie być szczęśliwym? Myślmy ciągle o zorganizowaniu w sierpniu tego zjazdu. Napisz, czy Kostek i Jaś wzięliby w nim ewentualny udział? Felusia zawiadomię, bo adres zdaje się znalazłem. Chłopcy z Krakowa mają blisko i trzeba tylko tu zorganizować noclegi, co bardzo trudne nie jest.

Co z Tobą słyhać Iruś? Jak zdrowie Pułkownika? Całujemy Cię z Myszką najserdeczniej jak córkę i siostrę. Ode mnie kłaniaj się pp. Poleszukom i ucałuj Twoją siostrę.

i Pisz!

Twój Bruno M.

Oddany Ci stary przyjaciel